

## O deontologii metodologii filologii

ABSTRACT. Jakóbczyk Stanisław, *O deontologii metodologii filologii* [On deontology of the methodology of philology]. „Przestrzenie Teorii” 5, Poznań 2005, Adam Mickiewicz University Press, pp. 243-252. ISBN 83-232-1605-3. ISSN 1644-6763.

A nomothetic character of philological researches, suggested by the quoted authors, requires – if we stay for satisfying at least some main methodological criteria of scientific validity – a publication, a diffusion of texts which are supposed to inform about these researches. They are metatexts from nature of things, the very “texts” being their subjects. However, these subject-texts are included, also as quotations, and thus, they are also published and diffused. The logical and deontological problem is, that among them may (and even must) appear some morally reprehensible texts. The latter, in their nature, become such (or increase their negative character) precisely as a result of publication and diffusion. Does a philologist act in reprehensible manner?

Poniższy tekst o tyle tylko, w bardzo ogólny sposób, nawiązuje do uwag Stanisława Balbusa o metodologiach i modach<sup>1</sup>, o ile można część tych uwag interpretować jako postulat wzmacniania naukowości badań filologicznych poprzez metanaukową refleksję i dyscyplinę metodologiczną. Szczególnie bliski jest mi ten obszar metanaukowej myśli, który łączy się z „obrębem poszczególnych dyscyplin naukowych”, jak pisze Balbus:

Metodologia w obrębie każdej z nich stanowi bowiem ten poziom aktywności, na którym przebiega refleksja (i praca) zarówno nad jej koherencją wewnętrzną, jak i zewnętrzną integralnością w obrębie obszarów, wśród których egzystuje, choć sama może się nie czuć względem nich kompetentna przedmiotowo. [...] Metodologia jest w obrębie każdej dziedziny wiedzy wizytówką nomotetyczności, nawet jeśli dana dziedzina, jako całość, za nomotetyczną nie uchodzi<sup>2</sup>.

Ponieważ spostrzeżenia takie zgadzają się z tradycyjnym, pozytywnym – także i moim – poglądem na nauki humanistyczne, według którego mogą one i powinny dążyć do przestrzegania ogólnych norm i kryteriów naukowości, takich jak intersubiektywna komunikowalność i sprawdzalność swoich zdań, dążąc w ten sposób do nomotetyczności, pozwalam sobie rozwinąć ten temat w wygodną dla mnie stronę i zwrócić

<sup>1</sup> S. Balbus, *Metodologie i mody metodologiczne we współczesnej humanistyce (literaturoznawczej)*, „Przestrzenie Teorii” 2002, 1, s. 97-103.

<sup>2</sup> Tamże, s. 97-98.

uwagę na jedną z konsekwencji tego poglądu, będącą pewnym paradoksem metodologicznym owych nauk. Konsekwencja ta zarazem dotyka ich obszarów wewnętrznych, jak i – zdawałoby się – zewnętrznych, pozornie nawet – pozanaukowych, choć zapewne nadrzędnych, mianowicie natury etycznej.

Są trzy rodzaje metodologii nauki szczegółowej:

1) Metodologia praktyczna, zwana dawniej „metodyką”, czyli faktyczny sposób pracy, najczęściej obejmujący jej etap pierwszy – heurzę, i ostatni – redakcję publikacji. Rzadko stosunkowo opisuje się ten sposób, w każdym razie nie jest on przedmiotem żadnej metanauki; bywa jednak kryterium uznania wartości czy też naukowości swoich wyników: bywa, że stopień przestrzegania jego mniej lub bardziej niepisanych zasad przesądza o uznaniu wartości wyniku bez względu na tego wyniku wartość *eo ipso*. Przyjmuje się, że zasady te, dla danej nauki, nie tylko są, ale wręcz powinny być niezależne od wszelkich innych zasad innych nauk czy dziedzin życia, nawet ogólniejszych. Mieści się więc w systemie poglądów metodologicznych antynaturalizmu. Nie jest taka metodologia żadnym uszczegółowieniem ani zastosowaniem epistemologii, a tylko kodyfikacją, nie zawsze formalną (często na zasadzie tradycji lub mody), zbioru technik i zachowań. Jest to więc metodologia normatywna. Jej założenia są ukryte i niedyskutowalne.

2) Metodologia filozofująca, czyli wyszukiwanie, poprzez mniej lub bardziej sformalizowane opisy wybranych rozumowań, a częściej tylko poglądów zawartych w tekstach będących wynikiem pracy naukowej, ich zgodności z jakimiś wybranymi poglądami deklarującymi się jako filozoficzne, a więc – z założenia – ogólniejsze od przedmiotowych. W przeciwieństwie do poprzedniej metodologii dopuszcza się tu zatem zasadę korespondencji, a nawet redukcjonizmu. Jednakże systemem nadrzędnym nie jest bynajmniej jakaś doktryna epistemologiczna, lecz raczej ontologiczna, najczęściej – aksjologiczna. Mimo to nie ma ona ochoty służyć swojej nauce przedmiotowej, nie jest szczególnie normatywna. Dopuszcza bowiem powiększanie się liczby celów (przedmiotów) nauki. Do niej stosuje się paradoks dychotomii cel = metoda, bowiem poszczególne jej opcje dotyczą nie tyle sposobów, a więc metod poznania, ile raczej wyboru przedmiotów poznania, a więc jego celów. W praktyce często sprowadza się do traktowania tekstów deklaratywnie filozoficznych jako obiektów badania literaturoznawczego lub lingwistycznego, i odwrotnie.

3) Metodologia *sensu stricto* to opis – w języku drugiej, „filozofującej” metodologii – rzeczywistości będącej przedmiotem pierwszej, „praktycznej”. I w jej nurcie mieszczą się niniejsze rozważania.

Oczywiście, rzadko występują owe „czyste” typy w izolacji. Kiedy Kridl<sup>3</sup> mówi, co to jest „metoda rozumowania” – „tj. wnioskowania, sprawdzania, tłumaczenia i dowodzenia naukowego”, mówi to jako metodolog *sensu stricto*. Kiedy natomiast atakuje „pozytywistyczno-przyrodniczy na świat pogląd” i „użyteczne pojmowanie celów nauki, poddawanie jej innym celom socjalnym lub biologicznym, jak rozwój techniki, powiększanie bogactwa i «szczęśliwości» społeczeństw, utrzymanie i rozwój gatunku”, ponieważ – jego zdaniem – „sama zasada autonomii i wolności nauki została tu podważona”<sup>4</sup>, uprawia metodologię filozofującą, wypowiadając się zresztą nie o metodzie, ale o przedmiocie i celu swojej gałęzi wiedzy.

Ale nieco dalej w tej samej pracy, kiedy głosi swoistość badań literackich, niepoddawalnych kryteriom ogólnometodologicznym:

Wszystko [...] co sprzyjało mieszanii pojęć [...], co popychało do stosowania kryteriów pozaliterackich [...] a więc włączenia na cudze podwórka filozofii, etyki, nauk społecznych lub ogólnej moralności, często zależnej od osobistego punktu widzenia badacza [...] – musi być uważane za odstępstwo od istoty nauki o literaturze bez względu na rozpiętość wyliczonych stanowisk i bez względu na ich taką lub inną rolę pomocniczą w badaniach ściśle literackich”<sup>5</sup>

– wtedy uprawia metodologię praktyczną, głoszącą „tradycyjne”, pozaliterackie zasady.

Skupienie się na swoistej dla danej dyscypliny metodologii (metodyce) charakterystyczne jest dla metodologicznych poglądów zwanych pozytywnym antynaturalizmem normatywnym, postulującym traktowanie wszelkich dyscyplin „pozaprzyrodniczych” (nieempirycznych) na równych i tych samych prawach co dyscypliny empiryczne, ale przeciwstawiającym się stosowaniu do tych pierwszych takich samych kryteriów naukowości jak do tych drugich.

Metodologia filozofująca pozornie w ogóle nie zajmuje się oceną naukowości, ale preferując wybrane akurat paralele i parantele filozoficzne dla praktyki jakiejś dyscypliny szczegółowej, a w gruncie rzeczy preferując powierzchowne parantele terminologiczne, staje się także naturalizmem, a częściej antynaturalizmem normatywnym.

Zarówno więc podejście praktyczne do metodologii, jak i filozofujące, kładą nacisk na specyfikę dyscypliny szczegółowej, nieufnie odnosząc się do metodologii ogólnej, zwłaszcza do jej aspektu normatywnego (niepotrzebnie, nie jest on i nie może być jej dominantą). Harry Levin powiada wprost: „zbyt wielu ludzi mówi nam, jak mamy robić rzeczy, których oni

<sup>3</sup> M. Kridl, *Wstęp do badań nad dziełem literackim*, Wilno 1936, s. 15.

<sup>4</sup> Tamże.

<sup>5</sup> Tamże, s. 16-17.

sami nigdy nie robili”<sup>6</sup>. Oba te aspekty metodologii, jako szczegółowe, podkreślają niezwykłą rolę przedmiotu poznania konkretnej dyscypliny: to specyficzny przedmiot, poprzez swą naturę, wymusza rzekomo specyfikę poznawczego działania<sup>7</sup>.

Tezę tę można podważać, a w każdym razie osłabiać, na różne sposoby, między innymi z punktu widzenia potrzeby posiadania jakichś – najogólniejszych choćby – kryteriów naukowości, których spełnienie legitymizowałoby takie czy inne działania w imię nauki, bez względu na specyfikę wspomnianych przedmiotów dyscyplin szczegółowych. Przyjmuję tu, spośród wymogów naukowości, dwa minimalne: intersubiektywnej sprawdzalności zdań nauki (czyli wyników badań) oraz intersubiektywnej ich komunikowalności (która zresztą jest warunkiem koniecznym pierwszego wymogu). Nie zamierzam negować ani specyfiki nauk filologicznych, ani faktu, że wynika ona głównie z natury ich przedmiotu; jednak specyfika nie może usprawiedliwiać metodologicznego nihilizmu ani anarchii: tak jak Kridl, tak jak Balbus, postuluję konieczność poddania się najogólniejszym, wspólnym dla całej nauki kryteriom i normom.

Jak wiadomo, przedmiot filologii jest, na pewnym poziomie ogólności, wspólny dla lingwistyki i literaturoznawstwa i stąd głównie bierze się wspólnota metodologiczna obu dyscyplin, przynajmniej w optyce dwóch pierwszych podejść metodologicznych. To oczywiste i znane. W każdym ujęciu literackości – czy to jako dominacji funkcji poetyckiej języka, czy jako utrwalenia informacji za pomocą skonwencjonalizowanej formy<sup>8</sup>, czy też dominacji funkcji ekspresywnej w wymiarze ponadindywidualnym<sup>9</sup>, czy w innych ujęciach<sup>10</sup>, zawsze chodzi o jakiś poziom organizacji wypowiedzi językowej, organizacji możliwej do wyrażenia w ramach różnych teorii lingwistycznych<sup>11</sup>.

Wspólnota przedmiotowa obu naszych dyscyplin objawia się także w naczelnej, bodaj czy nie jedynej procedurze badawczej wśród właściwych im idiograficznych taksonomii, jak powiedziałby Chomsky, którą jest porównywanie, a która sprawia, że dyscypliny te choć w minimalnym stopniu stają się nomotetyczne i spełniają najogólniejsze kryterium

<sup>6</sup> H. Levin, *Grounds for comparison*, Cambridge Mass., 1979, s. 80.

<sup>7</sup> W cytowanym numerze „Przestrzeni Teorii” pogląd taki dobitnie artykułuje Bożena Tokarz (w przytaczanym na s. 7/8 fragmencie recenzji numeru).

<sup>8</sup> Patrz: R. Escarpit, *Creative Treason as a Key to Literature*, w: *Sociology of Literature and Drama*, E. i T. Burns (eds.), Great Britain 1973, s. 359-367.

<sup>9</sup> Patrz: H. Levin, *Literature as an Institution*, w: E. i T. Burns, op. cit., s. 56-70.

<sup>10</sup> Por. E. Balcerzan, „Sprzecznościowa” koncepcja literackości, „Przestrzenie Teorii” 2002, 1, s. 11-24.

<sup>11</sup> Por. R. Jakobson, *Poetyka w świetle językoznawstwa*, w: *Współczesna teoria badań literackich za granicą*, H. Markiewicz (red.), Kraków 1976, s. 22-68.

naukowości – intersubiektywnej sprawdzalności. Ponieważ pisałem o tym obszernie kilkanaście lat temu<sup>12</sup>, nie będę kontynuować tego wątku.

Przypomnę jeszcze za to następną znaną oczywistość, stanowiącą o specyfice i zarazem wspólnocie metodologicznej lingwistyki i literaturoznawstwa: jedność przedmiotu poznania i jego narzędzia. Językoznawca bada przedmiot, za pomocą którego – abstrahując już od kolejnych etapów pracy naukowej – przedstawia wyniki owego badania, spełniając tym samym kryterium naukowości. Literaturoznawca, znawca tekstów, sam musi je produkować w trakcie badania. Najchętniej zresztą przedmiotem tego ostatniego staje się jego własny produkt, czyli interpretacja. Jest rzeczą oczywistą, że wpływ przedmiotu badania bezpośrednio na samo badanie i odwrotny (także pośrednio, poprzez wpływ na badacza i tegoż – na badanie) jest zawsze mniej lub bardziej obecny w każdej dyscyplinie szczegółowej, nie wyłączając nauk empirycznych. Mówi o tym m.in. tak zwana relacja nieoznaczoności Heisenberga, zasada komplementarności Bohra, tzw. efekty Edypa (przewidywania samorealizujące się i samodestrukcyjne). Ale w filologicznych specjalnościach zjawisko to nabiera szczególnej ostrości, między innymi ze względu na trudności w oddzieleniu języka od metajęzyka. Są one głównie natury psychologicznej, dlatego od tysięcy lat ciągle wracają do metodologicznych, filozoficznych i nawet literackich tekstów.

Jedna z konsekwencji tej sytuacji wydaje się nieco zapomniana. W „Zbiorze zasad i wytycznych” Komitetu Etyki w Nauce Polskiej Akademii Nauk, pod tytułem głównym *Dobre obyczaje w nauce*<sup>13</sup>, jego autorzy kwitują poruszone poniżej problemy jednym zdaniem, doskonale wymijającym: „W sytuacji, gdy zastosowanie zasad dobrych obyczajów w nauce popada w kolizję z innymi ogólnie akceptowanymi systemami wartości, pracownik nauki powinien dokonywać wyboru zgodnie z własnym sumieniem i podejmować osobistą decyzję w każdym konkretnym przypadku moralnego konfliktu”. Zresztą sprawa, którą chcę zasygnalizować, częściowo tylko dotyczy kwestii etycznych bezpośrednio. W głównej swej części dotyczy uczciwości metodologicznej, czyli najpierw metodologii, a potem dopiero etyki.

Chodzi mianowicie o naukowe zajmowanie się tzw. wulgaryzmami, pornografią, rzeczami niecenzuralnymi, nieprzystojnymi, niemoralnymi, gorszącymi czy jakich to jeszcze nazw mniej lub bardziej delikatnych użyjemy. Zjawiska te stanowić powinny ważny przedmiot wiedzy, ponieważ w badanej rzeczywistości językowej, także i literackiej, a szerzej

<sup>12</sup> Patr: S. Jakóbczyk, *Porównywanie. O procedurach naukowych filologii*, Poznań 1990.

<sup>13</sup> Warszawa 2001, s. 9 (Rozdział I, 1.4.).

– kulturowej, jeszcze szerzej – społecznej, są one niewątpliwie ilościowo olbrzymie; wystarczy zdać sobie sprawę z niezwyklej frekwencji niektórych wulgaryzmów leksykalnych, niesłusznie wobec tego pomijanych na listach frekwencyjnych – a także ciekawe dla swej funkcji semantycznej – wystarczy zauważyć, ile czasowników zastąpić może jeden czasownik wulgarny, z kompletem prefiksów. Jest to też olbrzymia kopalnia problemów, poczynwszy od niełatwych decyzji pojęciowych: co jest (lub było) już wulgaryzmem, pornografią, a co jeszcze nie; dla kogo jest, dla kogo nie; w jakich sytuacjach lub kontekstach coś pornografią bywa, a w jakich nie. W zakres tych zagadnień wchodzi zjawiska opisywalne z punktów widzenia rozmaitych dyscyplin humanistycznych – od historii, etnologii i socjologii, poprzez psychologię, psychiatrię, po właśnie językoznawstwo i literaturoznawstwo, nie pomijając historii sztuki czy teologii lub prawa.

Na ewentualnym uściśleniu pojęć sprawa się nie skończy. Korpus przedmiotów badawczych wspomnianych dyscyplin humanistycznych, w tym zarówno lingwistyki, jak i literaturoznawstwa, jest bowiem otwarty epistemologicznie (wielu faktów językowych i tekstów literackich jeszcze nie znamy), ontologicznie (wiele z nich dopiero powstanie). I mogą one – historia uczy, że czynią to nader często – zaskakiwać umykaniem do tychczasowym klasyfikacjom, hybrydalnie nie mieścić się w ustalonych pojęciach. Podobnie jak to było w historii muzyki, kiedy ciekawe, ciągle jeszcze estetycznie zrozumiałe, próby balansowania na krawędzi tradycyjnej melodyczności i harmonii, a potem wręcz tonalności, skończyły się skokiem w przepaść dźwiękowych i (nawet już) poza-dźwiękowych realizacji różnorodnych eksperymentów myślowych. I zasadne jest pytanie, nawet bez wartościowania, „czy to jeszcze jest muzyka”, tak jak zasadne są pytania, „czy to jeszcze są sztuki piękne”, „czy to jeszcze jest literatura”, „czy to jest język”, a w metanaukowej refleksji – „czy to jeszcze jest nauka?”.

Niestety, na pytania te oficjalna, akademicka nauka odpowiadać raczej nie chce. Zjawiska „hybrydalne” są dla niej zbyt atrakcyjne, by ryzykować ich ewentualną utratę jako przedmiotów tzw. badań, gdyby z nich zostały usunięte ze względów skwapliwie nazywanych pozanaukowymi. Akademickie maszyny muszą mieć ciągle nowy surowiec do przerobu, inaczej mogą zaschnąć, zatrzeć się i szczeznąć. Wołają rozszerzyć zakres swych zainteresowań, najczęściej poprzez podział, przez utworzenie nowych tzw. jednostek organizacyjnych: wydział żywienia człowieka (kiedyś był zapewne tylko pracownią lub katedrą) ma instytut ziemniaka, czemu nie instytut kukurydzy; ten tworzy zakład popcornu, ten ostatni zapewne stworzy katedrę społecznych relacji popcornowych, itd.<sup>14</sup>

<sup>14</sup> Oto przyczynek do tej specjalizacji. W jednej z pierwszych scen słynnego filmu *Żądło*, estradowy komik opowiada taki – mniej więcej – dowcip: „dwie dziewczyny w kinie,



Problem, jaki w tym kontekście wywołuję, jest ogólniejszy – co nie znaczy, żeby dla jego ewentualnego rozwiązania nie trzeba było może zacząć od kwestii bardziej szczegółowych, pojęciowych ustaleń chociażby. Owa wyższa ogólność polega na tym, że właśnie każda próba takiego nawet wstępu tylko do rozwiązania wywołanego problemu wpada w paradoks metasystemowy. Paradoks analogiczny do znanych semantycznych paradoksów, choćby kłamcy, z jedną różnicą: tutaj efekt nie pozostaje na poziomie semantyki, czyli – jak powiedziałby Ingarden – na poziomie przedstawień albo wyrażeń, ale zaczyna działać na poziomie samej rzeczywistości, która jest przecież rzeczywistością wspólną dla przedmiotu i podmiotu.

Jak bowiem powiedział pewien Francuz, „najpewniejszym sposobem, by przekonać się, czy jakaś kobieta bywa w niestosownych miejscach, jest bywać tam samemu”. Definitywną, tautologicznie oczywistą funkcją obiektu gorszącego jest gorszenie, czyli – nie wdając się w szczegóły tego działania – w każdym razie najpierw pełnienie przezeń funkcji obiektu komunikacji w jej procesie.

Nie jest to tylko problem moralny, kwestia tzw. etycznych granic nauki; to paradoks na wskroś metodologiczny. Badacz komunikatów bowiem, nie tylko swym badaniem, ale samym już kontaktem z przedmiotem, uruchamia jego działanie, uzupełniając relację komunikacji o odbiorcę. Mówiąc po prostu, obiekt gorszący jest nim dopiero wówczas, kiedy jest odbierany, kiedy zostanie zauważony; to warunek konieczny jego sukcesu. Nie jest on wprawdzie warunkiem wystarczającym, ale tego, na czym miałyby polegać warunki wystarczające zajścia działania gorszącego, właśnie nie wiadomo.

Można dlatego upierać się sceptycznie, że badacz jest odporny, że „lekarz nie choruje”, bo komunikacja gorsząca z udziałem badacza uruchamia tylko jej warunek konieczny. Wiele zjawisk zdaje się wprawdzie ów sceptycyzm podważać: lekarze jednak chorują, a badacz literatury na przykład, mimo czynionych niekiedy wysiłków i deklaracji, przecież ulega wpływowi działania np. wartości estetycznych badanego dzieła literackiego; a czyż wpływ ten nie zdaje się analogiczny do wpływu działania gorszącego?

Będzie wszak rozsądne przyjęcie, że takim warunkiem wystarczającym zajścia gorszenia mogłoby być zdarzenie, polegające na zwielokrotnieniu komunikacji za pomocą wspomnianego przedmiotu, przekazanie go innym odbiorcom. W taki właśnie sposób rozumieją gorszenie ustawo-

---

rozmawiają; widzisz tego faceta, co tu siedzi i zajada popcorn? Wszyscy faceci są tacy sami – odpowiada druga – siedzą i zajadają popcorn. O.K. – mówi pierwsza – ale ten zajada twój popcorn”.

dawcy wielu krajów, gdzie prawo nie zabrania posiadania lub recepcji pornografii, ale zabrania jej rozpowszechniania – analogicznie, na przykład, do posiadania i rozpowszechniania niewielkich porcji narkotyków. Analogia nie jest pełna, bowiem organy ścigające, a przedtem badające narkotyki, nie muszą wcale stawać się ich konsumentami; tymczasem każdy kontaktujący się z obiektami pornograficznymi czy wulgarnymi, a więc i badacz, a więc i filolog, jest tautologicznie sam tych obiektów odbiorcą, czyli konsumentem, i to już w momencie, kiedy jeszcze nie wiadomo, nawet on sam jeszcze nie wie, że na pewno ma z takim właśnie obiektem do czynienia.

Do paradoksu przyczynia się też metodologiczny wymóg intersubiektywności, by wyniki badania (opisy, idiograficzne klasyfikacje, twierdzenia czy też generalizacje, wyjaśnienia i przewidywania), skoro mają zyskać status naukowości, zostały upowszechnione. Wymóg ten, w modyfikowanej postaci, obecny jest w każdej z trzech odmian metodologii: w filozofującej nie zawsze artykułuje się go normatywnie, ale jest *implicite* oczywisty; w praktycznej przyjmuje postać administracyjnych nakazów ilościowych „konkursów” publikacji; w metodologii właściwej wynika z podstawowego kryterium naukowości, najogólniejszego – a więc dotyczącego także nauk idiograficznych – zasady „intersubiektywnej komunikowalności”, będącej z kolei pierwszym krokiem do realizacji kryterium „intersubiektywnej sprawdzalności”. Żeby zatem mówić o jakimkolwiek poznaniu naukowym, musi ono zostać skutecznie zakomunikowane innym odbiorcom, jego wynik musi być mniej lub bardziej rozpowszechniony.

Badając wulgaryzmy lub pornografię, filolog uruchamia ich konstytutywne dla nich funkcjonowanie; zatem – po pierwsze – działa w sytuacji etycznie co najmniej dwuznacznej, jeśli nie jednoznacznie nagannej (podobnie, jak policjant w niektórych, daleko posuniętych, tak zwanych prowokacjach policyjnych), a poza tym – po drugie – poznawcza wartość wyników jego pracy jest wątpliwa, nie tylko bowiem sam wywiera przełożony wpływ na przedmiot badania, na jego pojawienie się – jest więc sędzią we własnej niejako sprawie, w każdym razie w sprawie własnych wytworów – ale też ów przedmiot, ze swej natury, wywiera wpływ na badacza, modyfikując prawdopodobnie jego podejście do przedmiotu w trakcie pracy. Nie tylko przedmiot „po” jest już inny niż „przed”, ale też i sam badacz „po” nie jest już tym samym badaczem, co „przed”.

Jest to szczególnie przypadek relacji podmiot badania-czynność badania-przedmiot badania, możliwy tylko w humanistyce, w badaniu artefaktów. Tylko tu ma owa relacja tak bezpośrednie i jakby „szybkie” działanie. Można pocieszać się, że – w naszym wypadku – to ewentualne działanie pozostaje w sferze języka, a więc w zanikającej już sferze komunikacji, bowiem – jak twierdzą współcześni badacze kultury – ta ostat-



nia staje się coraz bardziej obrazkowa, a po obserwowanym już wtórnym społecznym analfabetyzmie nadejdzie pewnie społeczna wtórna niemota. Pociecha to jednak marna, skoro miałyby zrealizować się dopiero „po naszych trupach”. Mechanizm poza tym zostanie, bez względu na kod, kanał czy język.

Przyjrzyjmy się paru analogiom tej sytuacji, zobaczmy, jak daleko sięgają. Oto Pasteur czy Koch, badając bakterie, sam się nimi zaraża i choruje: podobnie filolog, czytając wulgaryzmy, może się nimi sam gorszyć – ale nie musi<sup>15</sup>. Jednakże analogia szybko się kończy, bakteriolog bowiem nie podrzuca badanych bakterii innym, stara się nikogo chorobą nie zarazić, a filolog – przeciwnie, nie tylko chce upowszechnić swoje badania, ale jest wręcz do tego zmuszony zasadniczo, a nawet administracyjnie. Co prawda przyrodnik także musi upowszechnić wyniki swych badań, ale czyni to za pomocą językowego *medium*, za pomocą odpowiednio zredagowanego tekstu, który dla nikogo nie jest groźny, nie „zawiera” w sobie badanych bakterii. Tymczasem – jak mówiłem wyżej – bakteriami filologa jest właśnie język przedmiotowy, jest tekst, który musi on do swego naukowego meta-tekstu załączyć jako jego integralną część. Mniej lub bardziej przypadkowy odbiorca meta-tekstu jest więc jakby potencjalną ofiarą „filologicznych bakterii” i fakt, że opatrzone one będą cudzysłowem albo jakimkolwiek innym znakiem graficznym, nie zmieni ich bakteryjnego charakteru. Algirdas Greimas słusznie zwracał uwagę dadaistom i surrealistom, że „słowa nie są niewinne”, coś znaczą nawet bez wiążącej je „osi syntaktycznej”.

Analogia bardziej szczegółowa: skoro badacz cudzych tekstów gorszących miałby być (zgodnie z moją tezą) sam tego gorszenia ofiarą – z nim jeszcze stanie się sam gorszycielem – to czy znaczyłyby to, *per analogiam*, że badacz komizmu sam stawałby się komiczny?

Nie mylmy pojęć. Komiczny jest (pomijam rzadsze, ale możliwe przypadki inne) badany czy też cytowany przez filologa przedmiot, tekst. Badacz go, mimochodem może nawet, upowszechnia, opowiada dowcipy cudze wprawdzie, ale opowiada, i odbiorcy jest zupełnie wszystko jedno, czy dowcipy te opatrzone są takim czy innym komentarzem: śmieszą go, jeśli są śmieszne. Zresztą, czyż nie podobnie pojawiają się często dowcipy w przedmiotowo-językowej, pozanaukowej rzeczywistości społeczno-komunikacyjnej? Na ogół przecież opowiada się dowcipy cudze, nawiązując nieraz do kontekstu czy konsytuacji, na czym przeważnie zyskuje ich komizm. Można twierdzić, że skoro badacz wybiera sobie do cytowania takie, a nie inne przykłady komizmu, to – w dużym stopniu – jest sam dowcipny: ale nie komiczny!

---

<sup>15</sup> Kto wie, czy z moralnego punktu widzenia taki przypadek nie byłby bardziej jeszcze niezdrowy.

Na niewiele zda się też intencja badacza – nazwijmy ją naukową, czyli „nie potoczną”. Tu znów można powtórzyć analogię do komizmu, a zarazem podobieństwo konsytuacji naukowych do pozanaukowych, potocznych, co znakomicie komplikuje metodologom tzw. problem demarkacji<sup>16</sup>: czyż nie znamy przykładów komizmu niezamierzonego, nie opowiadamy sobie setek anegdot nawet o naukowcach właśnie<sup>17</sup>?

Zamiast podsumowania, czy wniosków, raz jeszcze – w skrócie – powtórzę myślowy tok głównej części niniejszego wywodu: wspomniana przez cytowanych autorów nomotetyczność filologii wymaga, z punktu widzenia różnych odmian metarefleksji, czyli metodologii, rozpowszechniania swoich tekstów; z natury rzeczy są one metatekstami i zawierają w sobie (także w formie przytoczeń) teksty przedmiotowe, które są w ten sposób także rozpowszechniane; wśród tych ostatnich mogą (może nawet powinny?) znaleźć się teksty moralnie naganne; te ostatnie, ze swej natury, stają się sobą na skutek rozpowszechnienia właśnie; pytanie: czy zatem filolog taki nie działa czasem w sposób naganny?

Zostawiam ów problem nierozwiązany, w postaci pytania – być może prowokującego do dyskusji.

---

<sup>16</sup> Chodzi o możliwość wyznaczenia kryterium naukowości – wiedzy, poznania, itp.

<sup>17</sup> Ponieważ powyższe analogie wywołane zostały przez poglądy opozycyjne do moich, pozwolę sobie na jeszcze jedną: oto krytycy sztuki współczesnej zaczęli interesować się – w połowie XX wieku – różnymi subkulturami i kulturami alternatywnymi. I w końcu uznali za sztukę nocne rozpylanie farby na murach miejskich budowli, tak zwane *grafitti*. Trafia ono zatem już w niektórych krajach do muzeów – obok (nie przesadzajmy, na szczęście w innych salach), na przykład, realistów, impresjonistów, prerafaelitów, symbolistów i surrealistów. Co ciekawe, w tych samych krajach zauważyć można daleko posunięte rozluźnienie obyczajów z jednej strony, a coraz większe społeczne przyzwolenie na szerokie upowszechnienie wulgaryzmów językowych z drugiej.